GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata:
W Galicyi: roczna . 5 zł. 50 ct.
półroczna 3 . —
kwartalna 1 „ 60 „
za granicą: do Niemiec 11 mar.
do Francyi, Włoch, Turcyi 14 fran.
do Ameryki . . . . . . 3 dolr.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM
ORGAN DUCHOWIEŃSTWA.
Wychodzi co czwartku.

Redakcya, Administracya i Expedycya plac Kapitulny l. 7 II. piętro.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 10 ct. od wiersza petitu.
Rękopisów przyjętych do druku Redakcya nie zwraca.

Rok II. We Lwowie dnia 8. listopada 1894. Nr. 45.

Z wiedeńskiego parlamentu.

Było to w Sebaste, mieście Armenii, za Licyniusza, cesarza.

Czterdziestu bojowników Chrystusowych, po wyczerpaniu mąk innych, obnażono i wypędzono w mroźną noc zimową na lód, aby głodem i chłodem zmusić ich do odstępstwa. Trzydziestu dziewięciu próbę przetrwało, tylko czterdziestemu zabrakło męstwa, lecz w jego miejsce rychło z własnej ochoty wstąpił jeden z dozorców i swoją osobą uzupełnił liczbę wyznawców.

Skąd mi ta stara historya przyszła do głowy?

Oto wśród współpracowników *Gazety Kościelnej* od dawna oglądam się napróżno za autorem listów wiedeńskich, który niegdyś za wiarę i ojczyznę dzielnie się zastawiał. Czy uciekł sromotnie? Czy gdzie w kącie rozgrzewa i prostuje zesztywniałe palce? Czy wróci na stanowisko? Zanim te kwestye doczekają się szczęśliwego rozwiązania, chcę zastąpić zbiega i jak przystało obywatelowi państwa, słynącego prowizoryami, prowizorycznie będę prawił o tem, co słychać nowego w rakuskiej stolicy.

Wiem, że na gołoledzi literackiej, podobnie jak ongi na stawie w Sebaste, porządny człowiek ani nie znajdzie przyodziewku, ani żywota nie naprawi, ale.... bohaterstwo także czegoś warte.

* * *

O czemże prawić, jeżeli nie o parlamencie?

Wszak tam wszystkie oczy zwrócone, choć parlament w oczekiwaniu bardziej drastycznych rozpraw, do których tematu dostarczą później sprawy budżetu i reformy wyborczej, zajmuje się na razie rzeczą mniej obchodzącą szerszy ogół, bo projektem nowej ustawy karnej.

Pierwsze rozprawy nad tym przedmiotem dały sposobność wielu mowcom do wygłoszenia gorących mów za i przeciw, do wypowiedzenia zdań wprost sobie przeciwnych. Ciekawe rzeczy usłyszeć można było w dyskusyi. Poseł Kronawetter oświadczył na wstępie z emfazą, że o ustawie karnej powinien decydować parlament, złożony z prawdziwych przedstawicieli ludu, wybranych oczywiście w powszechnem głosowaniu, potępiał potem reakcyjność projektu i zakończył zapowiedzeniem 86 poprawek. Poseł Hagenhofer dowodził potrzeby kary cielesnej, jako jedynie odstraszającego środka dla tych przestępców, którzy wręcz pragną więzienia, aby mieć dach nad głową i posiłek bez ciężkiej pracy a zakończył także zapowiedzią kilkudziesięciu poprawek. Poseł Pernerstorfer, nie syt wawrzynów, zdobytych na Ringstrasse w znanej demonstracyi za reformą wyborczą, zapragnął tryumfować także na arenie prawa karnego. Zaproponował przejść do porządku dziennego nad całym projektem, gdyby się zaś ten wniosek nie utrzymał, zwrócić projekt komisyi do przerobienia. Przewidując jednak, że obom tym wnioskom się nie powiedzie a chcąc równocześnie zadokumentować swą wyższość nad Kronawetterem, zapowiedział — 357 poprawek. Bagatela! Jeżeli tak pójdzie dalej, to parlament zamieni się w istny zakład ortopedyczny dla kulawych §§.

Koło polskie odbywa codziennie posiedzenia, na których także rozprawia szczegółowo o projekcie ustawy karnej, przechodząc paragraf po paragrafie, bo posłowie licznych zmian się domagają. Poseł ks. dr. Chotkowski w porozumieniu z kolegami ze stanu duchownego wniósł poprawek trzy. Przypuszczając, że dla czytelników *Gazety Kościelnej* nie będą one bez interesu, omówię je bliżej.

W projekcie rządowym brzmiał §. 191 dosłownie: *Wer öffentlich Gott lästert, oder den Glauben an Gott zu zerstören sucht, wird mit Zuchthaus oder Gefängniss bis zu drei Jahren bestraft.* Komisya wypuściła słowa „oder den Glauben an Gott zu zerstören sucht“, podając jako motyw, że w razie zatrzymania tych słów autorowie dzieł ściśle filozoficznych, w których w jakikolwiek sposób zakwestyonowano istnienie Boga, podpadliby pod rygor §. 191, co byłoby sprzeczne z powszechnie uznaną wolnością nauki (czytaj: wolnością błądzenia). Zdania tego nie podzielali trzej członkowie komisyi, dr. Schorn, dr. Pattai i dr. Ferjančič, zgłosili więc wniosek mniejszości, aby w projekcie ustawy (§. 191 projektu rządowego, §. 183 elaboratu komisyjnego) zatrzymano słowa powyższe. Otóż ten wniosek mniejszości popierał w kole polskiem ks. dr. Chotkowski, wykazując, że wiara w istnienie Boga jest fundamentalnym artykułem wszelkiej religii, że więc prawodawstwo, we własnym interesie biorąc w opiekę religią, nie może dozwolić, aby wiarę w jej fundamentalne artykuły bezkarnie podkopywano. Na zdanie jednego z posłów, że przez przyjęcie wniosku mniejszości zatamowanoby postęp w naukach przyrodniczych i filozoficznych, odrzekł ks. Chotkowski, że prawdziwa wiedza, prawdziwa filozofia nietylko Boga nie neguje, lecz owszem do Boga prowadzi. Tylko niedowarzeni mędrkowie po dziewięciowiekowem istnieniu chrześciaństwa mogą wątpić o Bogu. Ale o takich rzekł dawno psalmista: *Dixit insipiens in corde suo: non est Deus.* Wniosek ks. Chotkowskiego poparli ks. Kopyciński i ks. Pastor a dalej pp. Dawid Abrahamowicz i profesor Straszewski, który wykazał w wywodzie ściśle umiejętnym, że można być wielkim uczonym i filozofem, wierząc przytem silnie w istnienie Boga i w ogóle mając katolicką wiarę. Dobrze, że przy-

najmniej po debacie koło polskie jednomyślnie postanowiło głosować za wnioskiem mniejszości.

Drugi wniosek ks. dr. Chotkowskiego zmierzał do wypuszczenia z projektu w §. 160 (komisyjnym §. 152) ustępu: *Kartellträger, Secundanten, sowie zum Zweikampfe zugezogene Zeugen und Ärzte sind straflos* a to z tej przyczyny, że przepis ten sprzeciwia się ustawom Kościoła, które nie tylko pojedynkujących się, lecz także sekundantów karzą censurami. Poparli go ks. Kopyciński i ks. Pastor, który oświadczył, że posłowie duchowni musieliby w razie nieprzyjęcia poprawki ks. dr. Chotkowskiego głosować w pełnej Izbie wbrew uchwale Koła za wykreśleniem powyższego ustępu, opierając się na postanowieniu regulaminu, które członków koła zwalnia od solidarności w sprawach wyznaniowych. W dyskusyi walczono ze strony przeciwnej tym argumentem, że głównym obowiązkiem sekundantów jest pogodzić powaśnione strony i że często, dzięki ich interwencyi, udaje się zażegnać pojedynek. W głosowaniu nie utrzymał się wniosek ks. Chotkowskiego, a przyjęto wniosek pośredni, na który zgodził się referent p. Piniński, aby po słowie „straflos" dodać: *insofern sie zum Zweikampf nicht angereizt haben.* Uchwałą tą stworzono przykrą kolizyę. Katolicy a tem bardziej księża nie mogą w tej sprawie czynić ustępstw: za wnioskiem koła mogliby głosować tylko wtedy, gdyby upadła w izbie poprawka ks. Chotkowskiego. Usunięcie się księży od głosowania zupełne ułatwiłoby uchwalenie §. 152 w brzmieniu, proponowanem przez komisyę. Trzymać się więc chyba wypadnie zasady: *ex duobus malis minus eligendum.*

Jeszcze gorzej powiodło się z poprawką do §. 190. Ks. dr. Chotkowski wniósł, aby z projektu w §. 190 wyeliminowano ustęp: *Eine (strafgerichtliche) Verfolgung wegen eines Ehebruches findet nicht statt, welcher zu einer Zeit begangen wurde, in welcher die Ehe gerichtlich geschieden und die eheliche Gemeinschaft nicht wieder hergestellt war.* Paragraf ten zapewnia bezkarność małżonkom, którzy w ciągu separacyi a thoro et mensa dopuszczą się wiarołomstwa; ks. Chotkowski, wnosząc skreślenie, motywował je tem, że separacya sądowa nie rozwiązuje małżeństwa chrześciańskiego, że przeto copula cum alio tak samo jest cudzołóstwem, jak stante connubio. Gdzież więc racya bezkarności dla cudzołóstwa podczas rozłączenia, skoro ten grzech jest karygodnym przed rozłączeniem sądowem? Ks. Pastor zauważył, że ustawodawstwo cywilne, uznając kanoniczną zasadę nierozwiązalności małżeństwa, przeprowadza ją konsekwentnie i idzie za zdaniem: *pater est, quem justae declarant nuptiae,* więc też dzieci, zrodzone z separowanej matki każe wpisywać do metryk pod imieniem ojca. Skoro zatem mimo separacyi małżeństwo istnieje, copula cum alio jest cudzołóstwem i powinna być karygodną. Referent i inni posłowie bronili tezy, że conjux nie może być ścigany za violatio thori matrimonialis, skoro uzyskał separacyą a thoro. Kodeks — twierdzili — nawet durante separatione uważa copulam cum alio za cudzołóstwo, ale właśnie ze względu na separacyą jej nie karze. Większość poszła za ich zdaniem: uznała, że występek jest występkiem, lecz zapewnić mu należy bezkarność.

Rozumowanie to nie grzeszy wprawdzie zbytnią ścisłością — ale za to nasuwa poważne myśli i.... obawy, dla których uzasadnienia pozwolę sobie przytoczyć fakt znaczący. Młodoczeski poseł dr. Slavik, krytykując w Izbie ten sam paragraf, wygłosił następujące słowa: „w paragrafie tym wypowiada się zdanie: Faktycznie małżeństwo nie istnieje, jeżeli sąd orzeknie separacyą. Biorę to do wiadomości w tym celu, aby kiedyś w razie pojawienia się wniosku, zmierzającego ku temu, iżby to, co jest faktem, stało się też prawem, nie zarzucono wnioskodawcy, iż wykonywa zamach na świętość instytucyi małżeństwa. Gdzie małżeństwo nie istnieje, tam o zamachu na świętość małżeństwa nie może być mowy." Dr. Slavik dopatrzył więc w tym paragrafie to, czegośmy się obawiali.

Czyż w jego słowach nie mieści się zapowiedź, że zakusy naszych sąsiadów z tamtej strony Litawy odbiją się echem o ściany naszego parlamentu? Wszak przed kilkoma dniami znalazł każdy poseł na pulcie swoim prezent w formie broszury, której tytuł: *Die dringende Nothwendigkeit der Einführung der obligatorischen Civilehe in Österreich.* A w komisyi administracyjnej wśród obrad nad ustawą o swojszczyźnie odezwał się p. Kaiser, że w razie przyjęcia tej ustawy „dzisiejsze urządzenie metryk okaże się niedostatecznem". Ergo — trzeba może Węgry i w tem naśladować. Jakżeż cieszyłby się profesor Roszkowski, gdyby „najnowsze nabytki cywilizacyjne", których Węgrom w czasie ich bytności we Lwowie tak wymownie winszował i... zazdrościł, dostały się i Przedlitawii w udziale! No, ale w Bogu nadzieja, że tak źle nie będzie!

Na zakończenie weselsza wiadomość:

Minister Madeyski oświadczył przed kilkoma dniami w kole polskiem, że nietylko płaca urzędników, lecz także kongrua duchowieństwa ma być podwyższoną. Nie można wątpić, że p. minister po tem oświadczeniu w najbliższej przyszłości przedłoży projekt nowej ustawy kongrualnej. Bo też 500 zł. dla proboszcza a 300 zł. dla wikarego, — niech mi sprzymierzone Niemcy przebaczą ten plagiat — to za wiele, aby umrzeć głodową śmiercią, ale za mało, aby o tem dychać.

* * *

Można się tedy spodziewać polepszenia kongruy. Niechże zawczasu nikiel szykuje autor *Listów z Wiednia,* skoro publicznie w zakład stawił po dziesięć halerzy na każdego beneficyata dla zaokrąglenia państwowej dopłaty, mającej nastąpić „po mowie ks. Pastora". Ale na kim dochodzić wierzytelności, kiedy przezorny ofiarodawca nie wskazał swego adresu?

Radzę interesowanym, aby swe pretensye zahipotekowali na całym stanie czynnym *Gazety Kościelnej* — z przyległościami. Czy redaktor w każdym numerze nie głosi, że jest odpowiedzialnym?

Ks. L. P ....

Demokracya katolicka w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

XXVI.

Grzech teraźniejszości.

Jeżeli zamięszanie w pojęciach o władzy i posłuszeństwie było u nas pierwszym szkopułem do rozwinięcia stanu społecznego, to drugim było, niewątpliwie, zupełne zwycięstwo jednej klasy nad innemi, wyzyskane nie po chrześcijańsku, i nawet nierozumnie. Na zachodzie monarchia także zwyciężyła wszystko, ale wyzyskiwała swe zwycięstwo według zasad racyi stanu. Nic dziwnego: tam robiła dla siebie jedna rodzina zwycięzka, dynastya panująca, to co u nas robiła cała chmura dynastyi. Więc i nasze państwo urządziło się na zwycięstwie, ale „gromady". Czy dziś ta dążność znikła? Widać ją przeciwnie wszędzie, w szlachcicu, w chłopie, w artyście, w rzemieślniku, w właścicielu domu, w każdym.

Są zapewne wyjątki, — ale pozostaną wyjątkami póki w duszach się nie zatamuje fistuły, sączącej egoizm. A zatamować ją może tylko praktyka życia chrześcijańskiego.

Owe, w instynktach „gromady" pierwiastek swój mające, pojęcia o władzy i braterstwie, o wolności i równości — są poprostu społecznem uorganizowaniem wyzyskującego egoizmu; — a zatem, są zaprzeczeniem spo-

łeczeństwa prawdziwego, wyższego, które stoi na poświęceniu się dla dobra ogólnego. To dobro zaś nie jest, jak „gromada“ rozumie, zbiorem dóbr pojedynczych — ale jest, czemś, co dopiero chrześcijanin pojąć zdoła, dobrem, któremu dobro pojedynczych, choćby wszystkich, powinno się poświęcić, bo jest dobrem zbiorowem, wyższem od sumy dóbr pojedynczych, i przytem dobrem nieistniejących jeszcze przyszłych pokoleń — nareszcie jest dobrem Boga w ludzkości.

Mówiono, że szlachta innego jest pochodzenia od ludu. Gdyby tak było, to i zmysł jej społeczny byłby wyższy od ludowego. Tymczasem jest on, absolutnie, tym samym gromadzkim instynktem, dopuszczającym społeczność tylko o tyle, o ile ona jednostce służy — w czemby jeszcze nie było tyle złego — lecz, nawet, o ile jej służy według chwilowego rozumienia jednostki. Inaczej mówiąc jednostka tu tyle z siebie poświęca ile uważa, że to jej jest dogodnem — czyli nic nie poświęca. Wyjątek tu stanowią jednostki wyżej moralnie stojące. Tym dobro powszechne, jako dobro sprawy Bożej na ziemi, jest droższe od ich dobra doczesnego. One to n. p. popierały czynnie Batorego w wojnie, mającej zabezpieczyć byt Rzeczypospolitej na przyszłość. — Jednostki, stojące niżej, chciały korzyści osobistych, rodowych, z tej wojny, ale odmawiały trudu i grosza. Tylko więc podniesienie poziomu jednostek przez stłumienie w nich egoizmu, a tłumi go tylko duch chrześcijański — daje miarę doskonałości związku społecznego, jeżeli następnie ten wyższy poziom ujęty jest w prawodawcze formy obowiązku, przeszkadzające możliwemu zawsze cofnięciu. Ale to wznoszenie się jest skutkiem wyzwalania się jednostki z więzów ducha gromadzkiego, a łączenia się z Bogiem, a przez Boga dopiero z bliźnimi.

Ale duch niższego, gromadzkiego, uspołecznienia nie chce, aby jednostka związaną była inną zasadą, innem prawem, krom powszechnej woli gromady. „Nic na nas bez nas“, mówiła u nas zasada prawodawcza. — Według niej podatek uchwalony w sejmie mógł być odrzuconym przez sejmiki. Stałym też być dla tego nie mógł — tylko uchwalanym jednorazowo jako dar, ofiara, przyczem mocniejsza korporacya, szlachta, spychała co mogła na duchowieństwo, na miasta, na dobra królewskie. Niczem się nie wiązać, być zawsze panem swej woli — czyż to i dziś nie jest ideałem?

I nic dziwnego — taka jest, w gruncie zepsucia swego, natura ludzka. Stąd się zdarza, że osoby, oddające się na służbę Bogu, uważają za rzecz szczytniejszą służyć Mu bez wiązania się ślubami, „aby Mu, zawsze nowym aktem, całą oddawać wolę“. Nie widzą tego, że Mu ją oddają na chwilę tylko. Nie wiem czy na zachodzie coś podobnego mogłoby być zrozumianem. U nas to wypływa z tradycyi.

Jest to wszakże urządzenie społeczeństwa na subtelnie wijącym się egoizmie. Z takiego społeczeństwa cóż wydobyć się da wyższego? Chyba to, co się porwie uczuciem, wyprosi, ujmie „czapką, papką i szkapką“ — ale nie, moralnym nawet, przymusem, nie prawem, nie obowiązkiem, nie koniecznością logiki, bo to zagrażałoby wolności jednostek, które właśnie, wiążąc się, zastrzegły sobie tak pojętą wolność. Więc czemże będzie jedność między członkami takiego społeczeństwa? Uczuciem, wypływającem ze wspólnej tradycyi, krwi, języka; — przyzwyczajeniem się do pewnych ludzi, rzeczy, lub stron. Przyjdzie jej w pomoc pamięć wspólności życia, koleżeństwa — nie koniecznie ze wspólnej pracy około dobra publicznego, płynąca — toby było idealne oparcie się na braterstwie i poświęceniu, w jedności myślenia, w rzeczach wyższych, wyjątkom tylko dostępnych; — ale to będzie pospolite koleżeństwo ze wspólnej zabawy, z wspólnego tracenia sił, grosza i czasu.

Lub jeśli nie koleżeństwo, to koterya. Posiadanie pewnych wspólnych odznak, jak konie maścią i wzrostem dobrane; lub pewnych upodobań; lub nazwisk czy majątków między sobą mniej więcej rymujących; lub zajęć amatorskich, jak zbieranie znaczków pocztowych, lub jazda na dwukołowcach: te mogą być jeszcze środki jednoczenia się ludzi inne od względów etnograficznych i geograficznych.

Wszystko to wiąże, nie wiążąc — wiąże pajęczyną, nie obowiązkiem, — sięga po wierzchu, nie do głębi — jednoczy lekko i chwilowo. — Podobną jedność maja masy chmur kiedy ich wiatr nie szarpie. To wszystko wygląda na harmonię, ale jest płodem egoizmu i żadnej nie daje siły społeczeństwu: gromada, pozostaje gromadą.

Społeczność musi być pierwiastkową, dziecinną i słabą, dopóki egoizm nie jest zdławiony w jednostkach, przez zwycięstwo w nich zasady chrześcijańskiej — ale nie chwilowo złamany w uniesieniu uczucia, spowodowanem jakąś wielką chwilą.

Aby egoizm zwyciężyć trzeba, żeby rozum i wola, władze czysto duchowe zapanowały nad wyobraźnią i uczuciem, władzami ducha także, lecz zależnemi od materyi; trzeba, aby wnętrze człowieka podlegało prawu Bożemu. Na zachodzie złożyły się, na takie zwycięstwo, czynniki, już poprzednio wyliczone, których myśmy nie mieli: szkoła rzymskich urządzeń, — zdobywanie prawdy Bożej przez męczenników, — wprowadzanie jej w życie przez mnichów, — obrona jej w wojnach religijnych, — urządzenie jej i wgłębienie w rozum przez scholastykę — a w końcu, jako owoce tych czynników, a działacze ostateczni, ludzie tędzy i rozumni, licznie się pojawiający i nie izolowani wcale wśród swoich, a ujmujący swe narody w formy obowiązku przez prawodawstwo i państwo. — U nas tego nie było i dla tego społeczność nasza nie rozwinęła się, tylko przyodziała swe ubogie kształty w stroje zapożyczone, podczas gdy człowiek indywidualny pozostawał dalej tym dawnym sielskim egoistą, z dodatkiem tylko próżności, i z sercem czulszem na wrażenia. „Z Polakami, pisał do Rzymu pewien członek nuncyatury za Zygmunta Augusta, nie ma co rozprawiać o prawdzie lub nieprawdzie danej teoryi: — to są ludzie, których przekonać się nie da, trzeba ich porwać“. — To samo i dziś po trzystu latach mógłby powtórzyć — tylko mógłby dodać, że mamy to sobie za wyższość nad innemi narodami.

Tymczasem, jeżeli jest naród, w którym porozumienie się wzajemne jest niemożliwe, to ten, w którym decyzya woli zawisła od uczucia. Bo prawda o przedmiocie jakim jest czemś objektywnem, wymagającem, aby każdy jednakowo zrozumiał słowa, któremi się ona wyraża. Uczucie zaś jest rzeczą subjektywną, żadnemu

wspólnemu mianownikowi między człowiekiem a człowiekiem nie podlegającą.

Uczuciowość sama, wrażliwość, może w danej chwili połączyć nas około jednej sprawy, jednego słowa lub człowieka, ale nie może nas łączyć stale, bo uczucie jest językiem, który, jak rzecz św. Piotra w Zielone świątki każdemu słuchaczowi brzmi w jego rodzinnej mowie, tylko każdemu co innego mówi.

Przypisują nieraz stan nasz duchowego rozbicia wybujaniu indywidualności. To prawda, ale z tym dodatkiem, że to wybujanie jest jej rozprzężeniem i rozkapryszeniem, będącem loicznem następstwem wyrośnięcia jej bez podpory kierowniczych wpływów instytucyi społecznych i wychowania. Bo pod tymi wpływami indywidualność, gdy wybuja, wydaje wielkość, — bez nich to roślina wykrzywiona i zmarnowana.

Jak dalece zaś jest ona wykrzywiona i niezdolna do utworzenia silnej zbiorowości, niech, między wielu rysami któreby można przytoczyć, wystarczy kilka, wskazujących, że, u nas rozum i wola są w stanie niedopuszczającym ściślejszego związku społecznego. Bo człowiek oczywiście musi mieć w duchu większe lub mniejsze warunki uspołecznienia, które się okażą w takiem nagięciu i nastrojeniu rozumu i woli, żeby mu to ułatwiało połączenie z ludźmi. A to nagięcie rozumu i woli w czemże się przejawi? Oto w sądzie życzliwym o ludziach, opartem na istotnem poznaniu i cenieniu ich, na szacunku. Tymczasem — komuż to niewiadomo? — nie ma rzeczy tak podłej, którejbyśmy nie przypuścili o każdym z nas, bez względu na jego wiek, charakter, zasługi, stanowisko, choćby ją twierdził znany kłamca. Jeśli jej nie przypuścimy, to dla jakiejś sympatyi dla osoby spotwarzonej — co nie dowodzi też sądu i szacunku. Często się zdarza, że znana nam jest istotna czyjaś wina, ale ona nam nie przeszkadza kochać go i przyjmować u siebie, bo rozumny, bogaty, przyjemny. Niech człowiek popularny splami się jakimś brzydkim czynem, któremu zaprzeczyć niepodobna, to gotowiśmy utrzymywać, że ten czyn nie jest brzydki, co nie dowodzi w nas wielkiej mocy zasad moralnych. Są tacy, którym wszystko wolno — inni, których zawsze potępiamy. Słowem, sąd nasz i szacunek nie jest bezstronny, nie opiera się na prawdzie, i nie reguluje sympatyi lub wstrętu tylko na odwrót od nich jet regulowany. Nigdzie może tak łatwo nie traci się niesłusznie dobrej sławy lub się jej nie odzyskuje, również niesłusznie, jak między nami. O tak zwanych arystokratach, ludzie nie znający bliżej żadnego z nich, prawią takie duby smalone, że się dziwić należy ich łatwowierności. Zdawałoby się, że mur chiński dzieli klasę od klasy. U nas nikt za nikogo nie ręczy, i nikomu czystych intencyi nie przypisuje; a wiadomo, że człowiek sam ma skłonności, o które drugich łatwo posądza.

Ta łatwowierność z jednej strony, i ta niewiara, pomimo dowodów, z drugiej, powodowane tylko fantazyą i sercem — to znak wyraźny jak mało cenimy prawdę, i jak płytka jest nasza moralność publiczna. A, przy takiem lekceważeniu prawdy i moralności, silne spojenie społeczeństwa jest wprost niemożliwe. Jakaż trwałość związków nie opartych na rzetelnym szacunku? Jaka może być między ludźmi miłość, jeśli rozum nie ma w niej udziału? Dla tego też — uwagę tę robią i nasi i obcy — rzadkie są między nami stosunki prawdziwej przyjaźni, bo ta się opiera na wspólności zasad, pojęć, dążności więcej niż na wzajemnym pociągu wywieranym przez przymioty towarzyskie. Jakże ma być przyjaźń kiedy jedni drugimi interesują się nie z ludzkiej sympatyi ale dla dowiedzenia się czegoś, coby ich poniżyło lub ośmieszyło. U nas każdy potwarzy uwierzy, co znakiem, że każdy od upadku nie daleki.

Raz, zagranicą, pytał mię cudzoziemiec o pewnego polaka, o którym różnie słyszał, mówiąc, że polak o polaku nigdy nic nie ukryje. A był to pisarz znany, i przyjaźnie a uczenie o naszej przeszłości piszący. Tak dalece nasza wzajemna nieżyczliwość obcym jest znana. — Rodzinne stosunki nie są ochronione od tej niemocy. Iluż to emigrantów skrzywdzonych zostało majątkowo przez rodziny korzystające z ich niemożności upominania się Ile jest rozterek między braćmi i siostrami, skądinąd tęskniącymi do widzenia się jak najczęstszego. Albo cześć matek, czy się w naszej literaturze spotyka, tak jak w licznych pamiętnikach i życiorysach we Francyi? Jakiekolwiek są tych faktów przyczyny, są one znakiem luźności stosunków społecznych. Bo ludzie nie związani siłą węzła rodzinnego, przyjaźnią i szacunkiem — mogą być w związku czasowym, przypadkowym, w którym koleżeństwo, koterya, klika będą wyglądały na coś wiążącego. Ale to wiązanie próby ognia nie wytrzyma, a zwłaszcza niezdolne zawsze będzie do rozwoju społecznego.

Tyle co do sądu. — Co się zaś do woli odnosi, to, ponieważ społeczność jest związkiem ludzi przez miłość, pod jedną im wspólnaturalną władzą, i dla wspólnej pracy w celach wspólnych — to jakaż będzie moc związku społecznego tam, gdzie każdy chce sobie być władzą, gdzie jeden drugiemu nie dowierza, bo go nie szanuje, i gdzie zatem, koniecznie, każdy chce coś na swoją rękę robić. Że tak jest w Polsce dotąd, choć się to pod pewnym względem zmniejsza, temu nikt nie zaprzeczy; jako i temu, że to jest spuścizna przeszłości, pochodząca nie z jakiegoś specyalnego ducha rasy czy klasy tylko z tej pierwiastkowości, niewyrobionej, a jednak w formy cywilizacyi przyodzianej, gminy słowiańskiej. I dla tego musi to tkwić i w warstwach nowych, skoro starsze nie mogą im przewodniczyć w wyprowadzeniu ich z tych manowców, dopóki same się z nich nie wypracują. I, powtarzam to, nie jest to więc, broń Boże, żadną własnością naszą, tylko właściwością egoistyczną natury ludzkiej przez grzech zepsutej, a nienaprawionej przez lek jedyny, życia na wskóś chrześcijańskiego.

Lecz egoizm ma to do siebie, że się jego działanie w człowieku, nie zdoła utrzymać w sferze ducha. Więc, spustoszywszy rozum i wolę, koniecznie, fatalnie, ściąga on rządy nad temi duchownemi władzami do właściwej swej stolicy, do ciała. A w to bagno zapadłszy, dziczeje i potęguje się. Wtedy występuje, już bez wstydu, śmiechem rozdęta rozpusta, upadek prywatnej, a za nią publicznej moralności, począwszy od opisywanych nam scen przez pamiętniki i powieści, aż do tolerancyi dzisiaj niekiedy, przez matki, żony, krewne, ku zgorszeniu i rozluźnieniu rodziny praktykowanej względem synów, siostrzeńców, mężów. Wtedy niknie szacunek dla płci, dla wieku nawet, dla związków krwi. W pewnych ludziach, czy sfe-

rach, zdawałoby się, że panują maksymy, oznajmiane przez Assyryjczyków, Judycie. Ale o tem, lepiej, milczmy, bo do tych ludzi słowo chyba nie trafi.

Ta niezłota już wolność jest jednak kluczem wszelkiego rozstroju nietylko jednostek, ale i społeczności; — jest przeszkodą, aby klasy wyższe mogły, jako klasy, ująć w swe ręce kierunek sprawy społecznej. Dla ludu bowiem dziś już nie może być innej powagi, jak powaga obyczajów.

W rezultacie, trzeba powiedzieć, że grzech przeszłości, wyspołecznienie trwa dotąd, i jest naszym już grzechem nie ojców, i naszą winą w ujarzmieniu i rozkładaniu się Ojczyzny. Gdzie siła materyalna prześladowania, gdzie zmowa, lub moc chwilowego interesu nas trzyma, tam wyglądamy na jedność, wewnątrz jesteśmy rozbici. Brak nam jakiegoś zmysłu społecznego, który umie ludzi prowadzić i skłonić ich, żeby się dobrowolnie prowadzeniu poddawali; — zmysłu, który uczy rozkazywać podwładnym bez pogardy, i który podwładnych uczy słuchać bez płaszczenia się; — który ma instynkt potrzeb i niebezpieczeństw społecznych — intuicyą natury społecznej; który nie bierze miękkości za miłość ani brutalstwa za siłę. U nas w przewodniczących będzie albo uleganie opinii, albo drwienie sobie z niej, — albo Zamoyski, albo Wielopolski, — podczas gdy podwładni są albo owcami, albo kozłami.

Nasz ustrój społeczny, w swej wewnętrznej istocie uważany, w zasadach i pojęciach, w stosunkach i pretensyach, jest ustrojem pierwobytnym, w którym się naród dojrzały pomieścić nie może, a z którego wyjść nie umie. I stąd cierpienie.

(Ciąg dal. nast.)

Ks. L. Z.

W obronie prawdy.

Praca nad ludem wiejskim nastręcza klerowi łacińskiemu w archidyecezyi lwowskiej niezwykłe trudności.

Tylko wyjątkowo trafiają się tutaj wsie czysto polskie; Polacy osiedli głównie po miastach. Skutkiem tego proboszczom łacińskim pospolicie siedzibę wyznaczono w miastach i miasteczkach, do których w charakterze filii należy po kilka, kilkanaście, czasem kilkadziesiąt włości okolicznych. Każda z nich posiada większą lub mniejszą ilość mieszkańców obrządku łacińskiego, zmieszanych z ludnością ruską, która ma zwykle w miejscu swego pasterza. Ta okoliczność sprawia, że ksiądz łaciński musi częstokroć dalekie odbywać wędrówki, aby się zetknąć z parafianami i z tej przyczyny nie tylko niewygodę ponosi, ale traci wiele czasu, mianowicie w porze słotnej.

Jeśli już o trudnościach pasterzowania mowa, to warto i ten szczegół podnieść, że we wschodniej Galicyi duchowieństwo łacińskie rekrutuje się przeważnie z tak zwanego stanu średniego. Wieśniacy nasi są za ubodzy, aby synów swoich kształcić na księży. Wynika stąd ta niedogodność, że młody ksiądz łaciński, urodzony i wychowany w mieście, znający lud tylko z opowiadania i książek, zrazu nie umie obracać się wśród ludu i dopiero po kilkoletniem doświadczeniu może z prawdziwym pożytkiem pracować na tem polu.

Korzystniejsza jest pozycya księży ruskich, bo parafian swoich mają zawsze pod ręką, a pochodząc z familii czy księżych — jak zwyczajnie czy — wyjątkowo — włościańskich, od młodości poznali lud, jego zapatrywania i przesądy, jego sympatye i antypatye, jego zalety i wady.

A nie godzi się także zapominać o tem, że już za czasów Rzeczypospolitej nie troskano się zbytecznie o duchowe potrzeby ludności łacińskiej, mieszkającej na kresach państwa: beneficyaci bardzo często robili politykę w Warszawie, poruczając opiekę nad owieczkami księżom, święconym *pro sola missa*.

Skutek był taki, że ks. arcybiskup Sierakowski (ob. Synodus dioec. Leopoliensis a. 1765) polecił n a d w o r n y m k a p e l a n o m szlachty, co następuje: „Przestrzegać będą Xięża Kapellani, aby Kapłani Obrządku Ruskiego nie ważyli się nigdy chrzcić dzieci Polskich swoim obrządkiem (przez co zwykli, zapisując takowe dzieci, w swoje Metryki, przywłaszczać ie swoiey mocy y Obrządkowi Ruskiemu, a Łaciński Obrządek umnieyszać) chybaby tylko z wody w potrzebie wielkiey, y za doniesieniem o takowym Ohrzcie Plebanowi Łacińskiemu".

Miary złego dopełniły rządy józefińskie, kasując znaczną liczbę klasztorów i obsadzając probostwa Czechami, Słowakami, Węgrami, którzy dodatnią pracą się nie odznaczali.

Na generacyi teraźniejszej łacińskiego duchowieństwa zaciężył obowiązek podwójny: zaspakajania bieżących potrzeb i naprawienia tego, co zepsuło niedbalstwo wieków minionych, i oto niewątpliwie kler dzisiejszy, choć szczupły liczbą i niedostateczny, podjął rączo i ochotnie tę pracę.

Przedewszystkiem zabrano się energicznie do budowy kościołów i kaplic w miejscach od kościoła parafialnego bardziej odległych. W tym celu duchowieństwo opodatkowało się dobrowolnie: założono fundusz budowy kościołów i kaplic, który za rok 1891 wykazuje 11.669 zł. 27 ct., za rok 1892 14.420 zł. 85 ct., za r. 1893 11.137 zł. 53 ct., za r. 1894 po dziś dzień z górą 10.000 zł. [1])

Oczywiście kwot tych nie przechowuje się na czasy przyszłe, lecz natychmiast rozdziela, w miarę potrzeby. Ponieważ zaś ludność wiejska, dobrze rozumiejąc swój interes, chętnie gotówką i wysługą osobistą przyczynia się do wznoszenia domów Bożych, to można bez przesady twierdzić, że wartość corocznie przybywających świątyń łacińskich w archidyecezyi szacować należy na 50.000 zł. W ten sposób powstają kościółki małe, skromne, ubogie — ale chędogie, w których nie tylko ksiądz ma pożądaną sposobność zetknięcia się z ludem sobie powierzonym, ale i ludność wiejska pod nieobecność księdza może „po polsku" oddawać cześć Bogu w Trójcy jedynemu i chwalić Pannę Świętą.

Nie na wiele przydałyby się święcone mury, gdyby w nich nie było chwały Bożej. Zrozumieli to dzisiejsi księża i coraz liczniej odbywają ekskursye do filialnych kościółków, katechizują starszych i dziatwę, a chcąc ułatwić parafianom obowiązkowe słuchanie Mszy św. w niedziele i święta, formalnie zarzucają prośbami o *facultas binandi* biskupów, którzy tym dobrym chęciom nie stawiają przeszkód lecz popierają je i błogosławią.

Kto zaś, choćby raz w życiu popróbował, co to znaczy wstać wczesnym rankiem, przez kilka godzin z rzędu słuchać spowiedzi, odprawić sumę, wygłosić kazanie, a potem — o czczym żołądku — tłuc się na drabiniastym wozie 7 do 15 klm. prywatnemi drogami a raczej wybojami, aby w kaplicy filialnej *da capo* rozpocząć to, co już się przebyło w kościele głównym: ten zrozumie wielkość poświęcenia kapłańskiego i pojmie, dlaczego we wschodniej Galicyi tak często młodsi, więc mniej zahartowani księża rychło zapadają na zdrowiu i przedwcześnie zmierają.

* * *

Mówimy ogólnikowo, nie wchodzimy w szczegóły, bo ruch nie datuje się od dawna i wiele jeszcze zrobić pozostaje w przyszłości. Na historyą tego działania za wcześnie.

[1]) Do pomnożenia tego funduszu przyczynia się corocznie ks. arcybiskup Morawski kwotą 2000 zł., ks. biskup Puzyna kwotą 1000 zł.

Wspominamy o tych rzeczach jedynie dlatego, że nam na pamięć je przywiódł wstępny artykuł *Gazety Narodowej* z 5. b. m. (Nr. 279).

Autor za *Reformą* konstatuje „ruszczenie się polskiej ludności w powiatach brodzkim i złoczowskim", odpowiedzialność zaś za to wynaradawianie się zwala w pierwszym rzędzie na duchowieństwo łacińskie.

Ponieważ korespondent *Gazety Narodowej* nie bierze w rachubę trudności, z którerni musi walczyć kler łaciński we wschodniej Galicyi a nadto nie uwzględnia tego, co w nowszych czasach faktycznie zrobiono, nic dziwnego, że sąd, który wydaje, z gruntu jest fałszywy, niesprawiedliwy i krzywdzący.

Pisze on między innemi:

„Ksiądz ruski nie pominie żadnej sposobności, aby włościaninowi przypomnieć narodowość i obrządek jego....

Ksiądz ruski spełnia obowiązek swój narodowy ze świadomością, ochotnie. Uważa się on za apostoła narodowego i szuka wszędzie, aby znaleść sobie prozelitów, zwiększyć liczbę swych wiernych i współrodaków. Wie on, że u ludzi zwyczaj staje się częstokroć najsilniejszem prawem. To też garnie on do cerkwi wszystkich bez różnicy obrządku, a przeszkadza i nie dopuszcza, aby Rusini do kościołów chodzili. Dochodzi to niekiedy tak daleko, że zakazy takie bywają z ambony głoszone, lub w inny sposób głośno powtarzane. Ksiądz ruski nie skrupulizuje się „ukraść" (to jest zwyczajowe wyrażenie) duszy łacińskiemu kościołowi, t. j. ochrzcić w ruskim kościele dziecię, które wedle praw chrzczonem być miało w łacińskim kościele.

Dalszem polem działania księdza ruskiego jest szkoła. Tu postępuje już najbezwzględniej. Wychodzi on z zasady, że śmiałemu szczęście sprzyja i absolutnie ignoruje dzieci łacińskiego wyznania lub katechizuje je po rusku, każe znak krzyża św. po rusku robić i nie dopuszcza najmniejszej wzmianki o łacińskim kościele.

A jak postępują księża łacińscy? Niemal bez wyjątku wprost przeciwnie jak ruscy. Nie troszczą się o szkołę, przyjmują do wiadomości „ukradzenie" dziecka, nie troszczą się o ilość parafian, odbywają ceremonie obrządkowe, w dalsze rozmowy z parafianami się nie wdając, nie żyją życiem ludu, unikają częstego i szczerszego zetknięcia się,— nie znają go....

Mimo większego niedostatku u księży ruskich, żyje ich wielu życiem duchowem, czytają, interesują się ruchem umysłowym i politycznym swego narodu. Łacińskim księżom, Polakom, jest to po największej części obojętnem.

Smutne to, lecz prawdziwe.

W najnieoświeceńszych warstwach jest pewien zmysł sprawiedliwości, ciągnący je tam, gdzie wyższość moralna. W tem powód ruszczenia się ludności wiejskiej — tu powód upadku obrządku łacińskiego, umniejszania się ilości łaciników - Polaków u włościan i mieszczan w całej wschodniej Galicyi".

* * *

Co na to powiedzieć?

Żałujemy przedewszystkiem, że autor nie wskazał imiennie ani jednego z tych księży, których miał na myśli. Gdyby to był uczynił, to zaczepiony mógłby się bronić, albo poprawić, skoro zaś zarzut zgeneralizowano, to niewinnym dzieje się prawdziwa krzywda a w tłumie oskarżonych ukryje się bezpiecznie zły — jeśli jest, o czem właśnie wątpimy.

Korespondent *Gazety Narodowej* przyznaje księżom ruskim „wyższość moralną" nad klerem łacińskim.

Jest to zapatrywanie, przeciw któremu walczyć nie myślimy; przeciwnie, cieszymy się, że — chociaż na koszt nasz — uznanie zyskali bracia nasi, kapłani ruscy; zawsze zysk został przy familii; niechże szanowny korespondent kocha się zdrów w swoim ideale.

Zaznaczamy tylko, że w rozumieniu tego pana na „wyższość moralną" składa się: kradzież dusz, zakaz uczęstniczenia w nabożeństwach innego obrządku i zniewalanie dzieci łacińskich do robienia ruskiego znaku krzyża św.

Owoż my, księża łacińscy, chcemy wprawdzie postępować ustawicznie w doskonałości, bo nam brzmi ciągle w uszach słowo Chrystusowe: *Estote perfecti*, ale nie dźwigniemy się nigdy na te wyżyny „moralne", na które chciałby nas wprowadzić korespondent *Gazety Narodowej*.

Pragniemy gorąco, aby lud wiejski w żywym związku zostawał z kościołem parafialnym i proboszczem; by temu życzeniu dogodzić, chętnie poniesiemy największe ofiary, ale nie możemy z ambony zabraniać ludności wiejskiej chodzenia do cerkwi, póki jest to jedynie możliwy we wielu wypadkach sposób uczynienia zadość przykazaniu kościelnemu. Nie będziemy też dzieciom ruskim narzucali łacińskiego znaku krzyża św., skoro Stolica Apostolska unitom przyrzekła nienaruszone zachowanie obrządku. Nigdy wreszcie nie będziemy do tyla.... Spartanami, abyśmy uważali za dowód „wyższości moralnej" kradzież, dusz zwłaszcza, bo one wydają się nam przedmiotem nieskończenie cenniejszym od rzeczy materyalnych.

Niegodziwe oszczerstwo mieści się w następujących słowach korespondenta:

„Władza duchowna z ks. arcyb. Morawskim na czele odpowiedziałaby lepiej swemu zadaniu, gdyby miasto gasić, rozżarzała w podwładnych swych patryotyczne uczucia".

Władza duchowna nie gasiła i nie gasi uczuć patryotycznych a jest w tem szczęśliwem położeniu, że w podwładnym klerze rozżarzać tych uczuć nie potrzebuje.

Kler łaciński w Galicyi wschodniej pod względem patryotyzmu nie ustępuje z pewnością innym warstwom społecznym, owszem za świętą ma sobie powinność, pielęgnować obywatelskie tradycye polskiego duchowieństwa.

Łatwo jednak być może, że patryotyzm inaczej pojmujemy, niż korespondent *Gazety Narodowej*.

My przekonaliśmy się o tem, że w naszem społeczeństwie dosyć jest ludzi, gotowych w każdej porze koncertowo śpiewać: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej....", więc zabawki patryotyczne zostawiamy licznym ochotnikom, od czczych demonstracyi trzymamy się zdala, wolimy bowiem bez rozgłosu pracować i to tak pracować, abyśmy wycieńczonej, dławionej ojczyźnie naszej oszczędzili i dymu pożarów i kurzu krwi bratniej.

O reformie nauki religii w szkołach gimnazyalnych.

(Ciąg dalszy).

Już na pierwszy rzut oka jest rzeczą widoczną, że do gimnazyum przychodzą różni chłopcy, o różnem indywidualnem uzdolnieniu i usposobieniu, z różnem domowem wychowaniem i przygotowaniem, w różnym wieku, a nawet w różnym celu, gdyż jedni przybywają, aby całe studyum gimnazyalne, inni aby tylko kilka klas ukończyć i jak najprędzej do zawodu praktycznego się udać. Tych wszystkich tak różnych między sobą usposobieniem, uzdolnieniem, wychowaniem, połączonych tylko w każdej klasie mniej więcej jednym wiekiem, oraz mniejszą lub większą żądzą nauki i oświecenia, ma szkoła, nie zacierając zresztą właściwej każdemu indywidualności, a nawet towarzyskiego stanowiska i pochodzenia, przetopić niejako w jedną zdrową, umysłową i moralną społeczność, wszystkim pewien poziom wykształcenia zaszcze-

pić, wszystkich na dobrych synów Kościoła i obywateli kraju wychować. Do osiągnięcia atoli tego celu nie wystarcza pewne szablonowe postępowanie, polegające na wspólnym dla wszystkich wykładzie, na odpytaniu zadanej lekcyi, na klassyfikacyi, oraz na pewnym porządku i rygorze szkolnym; a choć dla większości z powodu braku czasu i niemożności prawie fizycznej lepszego dopełnienia obowiązków, takie postępowanie wystarczyć musi, w żaden sposób nie może zadowolnić katechety. On nie może poprzestać na wykładzie i odczytaniu lekcyi, ale musi jeszcze wniknąć, jak się ta lekcya jego, czyli to słowo jego przyjęło i jakie owoce wydaje; jak się ta młodzież jemu powierzona pod różnymi względami zachowuje i jakie są wewnętrzne pobudki jej działania i postępowania. On musi kształcić charaktery, a do tego nie wystarcza, jak już wspomnieliśmy, pewne szablonowe, jednakże dla wszystkich i zawczasu przepisami unormowane postępowanie, ale musi być pewne serdeczniejsze wniknięcie w ducha i położenie młodzieży i w jej częstokroć może nieznane innym, ale znane katechecie, wady, dolegliwości i potrzeby. Pod tym względem tak wiele jest odmian i różnic, że niepodobna jest tutaj nakreślić całkowitego i wyczerpującego postępowania: zmysł praktyczny i doświadczenie, a przedewszystkiem owa troskliwa miłość katechety, najwięcej mu w tym przedmiocie wskazać i dopomódz mogą; że jednak i doświadczenie poprzedników ma swoje znaczenie, przetoż kładziemy tu kilka uwag, które do tem lepszego zoryentowania się w całej tej sprawie posłużyć mogą.

Najogólniejszym, a zarazem najbardziej odróżniającym i dzielącym uczniów między sobą, jest podział ich oficyalny, według nauki i stopnia wykształcenia, na klasy. Z podziałem tym łączy się także podział mniej więcej według wieku; a prócz tego można ich jeszcze podzielić na mniej lub więcej uzdolnionych, pilniejszych lub mniej pilnych, lepiej lub gorzej wychowanych, z nałogami lub bez nich, uboższych lub bogatszych. Te rożnice musi mieć ciągle katecheta na uwadze, aby mógł szczęśliwie i skutecznie postępować.

Co do wieku, nietrudne jest postępowanie z dziećmi lub choćby wyrastającymi z dzieciństwa, tacy bowiem, byle tylko byli nie zepsuci z domu i byle z nimi z pewną słodyczą i sprawiedliwie postępować, łatwo się przywiążą do katechety, będą mu posłuszni — i byle znów naukę katechizmu i historyi biblijnej przystępnie i interesująco im podać, chętnie się uczyć będą. Trudniejszem staje się postępowanie w miarę postępu wieku i w miarę budzących się różnych nieokreślonych żądz i skłonności, ale najtrudniejszem, kiedy się zbliżają lub zaczną już tak nazwane przez Niemców *Bengeljahre*, lata przejściowe, w których chłopiec przestał już być dzieckiem, a nie został jeszcze dojrzałym młodzieńcem, a podczas których zdarza się nawet, że niekiedy w zły sposób przyspiesza tę dojrzałość, czy to przez rozmowy z kolegami źle wychowanymi, czy przez lekturę niepotrzebną, czy to przez tak nazwane nieme grzechy, które lęgną się gdzieś w lenistwie i zaciszu i bezmierne spustoszenia sprawiają. Chłopiec w tej porze jest upartszym, krnąbrniejszym, — z budzącem się szerszem poznaniem czyli rozumem nie wie co począć i prawie go zawsze na złe, do przeczenia lub do złej ciekawości używa; niekiedy buntuje się przeciwko rodzicielskiej lub profesorskiej władzy, a szuka przyjaciół między tymi, którzy mu większą brawurą lub lekkomyślnością imponują. Lecz jestto także wiek, w którym i dobre nasiona lepiej i bujniej się przyjmują, wprawdzie niekiedy nie bez opozycyi ze strony złej lub niesfornej natury, ale za to z tem większą siłą, bo niema znów wieku, w którymby pragnienia piękna, prawdy i dobra żywiej biły w człowieku, jak w tem zaraniu pięknem i uroczem, którego wspomnieniem żyje potem człowiek przez całe życie i do którego z taką tęsknotą zwraca się poeta, kiedy śpiewa: „Święć się, święć się wieku młody, śnie na kwiatach, śnie mój złoty, ideale wiary, cnoty — i miłości i ochłody". Tę chwilę umieć stosownie wyzyskać, ten ideał wiary i cnoty, o którym mówi poeta, jako płomień święty w młodzieży pielęgnować i nie dać mu, żeby wygasł przez podmuchy namiętności, lub zalany był przez wody zepsucia; przytem osadzać go coraz więcej na przekonaniu i na utwierdzonej w dobrem woli, tak, żeby ta wiara i cnota nie bujała na skrzydłach samejże fantazyi, ale całą istotę młodzieńca przeniknęła i przeobraziła, jest największą zasługą i sztuką ze strony katechety. A do tego najlepszą mu podaje sposobność samaż nauki religii, tudzież tygodniowe exhorty, jak również prywatne i poufne pogadanki z młodzieżą. Owszem takie pogadanki, dlatego właśnie, że poufne i nieoficyalne, tem większe przynieść mogą owoce. A skoro raz te szlachetne porywy i pragnienia, te iskry dobrego, jakie tkwią w naturze ludzkiej, z wielkiemi prawdami wiary i zasadami moralności połączy i na nich je oprze; skoro raz przekona się, że one się stały życiem, treścią i tchnieniem młodzieży, wtedy może z ufnością spoglądać na przyszłość młodzieńca, wtedy i owocami swej pracy może się szlachetnie ucieszyć i pochlubić w Bogu, choć nigdy w czuwaniu ustać nie powinien, aby nieprzyjaciel nie przyszedł w nocy i nie posiał kąkolu, bo jakkolwiek on dobrze pracował, to i duch ciemności nie próżnuje, ale im piękniejszy zasiew widzi, tem bardziej stara się żniwo Boże zniweczyć i zepsować.

Lecz co czynić, jeżeli katecheta zastanie już ten kąkol na niwie szkolnej, który mu nietylko zagłusza dobre ziarno, ale i wszelką pracę jego wątpliwą lub daremną czyni, a objawia się w wielorakich postaciach, to jako krnąbrność, niesforność, lenistwo lub wspomniany grzech niemy w klasach niższych; to jako niedowiarstwo, niemoralność, próżniactwo, bezwstyd, czasem jako pociąg do przewrotnych teoryi i zupełna bezreligijność w klasach wyższych? Zapewne żeby się to wszystko razem i w tak wydatnym stopniu pokazało, na to trudnoby znaleźć pewne jakie przykłady, a przynajmniej są one rzadkie; zato nie ma prawie zakładu, gdzieby się te wady i wykroczenia sporadycznie w mniejszym lub większym stopniu nie objawiały. Katecheta musi więc na to wszystko baczne zwracać oko, a w razie dostrzeżenia, natychmiast starać się złemu zaradzić, według znanej zasady: *Principiis obsta, sero medicina paratur*. Zewnętrzne zachowanie się ucznia, tudzież pilność i naukę jego, daleko łatwiej zkontrolować i łatwiej je naprawić w razie jakiego braku lub wykroczenia, nierównie zaś trudniejsze do wykorzenienia są wewnętrzne wady i narowy ucznia. Zazwyczaj trzeba zbadać ich źródło, zrobić, że tak po-

wiem, analizę duszną młodzieńca i dopiero z lekarstwem wystąpić; — żeby jednak młodzieniec powierzył się lekarzowi, na to potrzeba wiele taktu, rozumu, słodyczy, cierpliwości, wyrozumiałości ze strony katechety; z drugiej strony nie masz większej zasługi i zadowolenia, jak wyratować duszę młodzieńca z przepaści, ku której się prędzej lub powolniej toczył. Dobra i gruntowna spowiedź, tudzież godnie przyjęta Komunia św., mogą się tu stać owemi epokami zwrotniczemi, od których się rozpocznie nowe życie młodzieńca. Gdyby jednak wszelka troskliwość nie pomogła, a bezbożność lub zły przykład ucznia, całej klasie lub najbliższym kolegom zagrażać począł, natenczas lepiej jest odciąć zły członek, aby uratować resztę ciała — i katecheta w tym duchu doradzać i postępować musi. Naszkicowawszy tak, jaki ma być stosunek katechety i postępowanie z uczniami, chcemy teraz w krótkości określić stosunek jego do profesorów.

(Ciąg dal. nast.)

Ks. dr. Julian Bukowski.

Jak nam dzisiaj nad ludem pracować?

(Ciąg dalszy).

Zanim do drugiej części naszej pogadanki przejdziemy, radzibyśmy nieco wspomnieć i o Bractwach kościelnych — o Różańcu szczególnie. Bractwa w ogóle podtrzymują niezmiernie życie duchowne, zasilają je i krzepią, niby roślinki rosa poranna. Możnaby je do strumyków przyrównać, z których się tworzą rzeki, a z tych nieprzejrzane morze. Tak i Bractwa, dobrze pojęte i dobrze pielęgnowane, z tych drobnych cnót, jakie polecają, stwarzają pełnią życia duchownego. I dusza takiego, który do bractwa należy, byleby się jego duchem przejmował, podobną jest do owego drzewa, o którem Psalmista powiada: *Będzie jako drzewo, które wsadzone jest nad ściekaniem wód, które swój owoc da czasu swojego.* Ps. I. 3. To też bardzo dobrze któryś doświadczony spowiednik powiedział, że na sto należących do Bractwa znajdziesz dwudziestu o życiu złem, ale na sto do Bractwa nienależących jest dwudziestu zaledwie życia poczciwego. Jaka tu różnica!

Wszelako ze wszystkich Bractw podnieść należy wpływ pożyteczny Bractwa różańcowego — we formie Żywego Różańca. Któryż proboszcz tego nie potwierdzi? O tem to Bractwie trzeba powiedzieć, że ono jest w całem znaczeniu Bractwem parafialnem, tem Bractwem, co skupia owieczki przy jednem ognisku. — Żywy Różaniec to wojsko uszykowane do boju. Bo oto na jego czele jest proboszcz, a pod nim podkomendni: starsi bracia i starsze siostry.

A jakie usługi oddaje to Bractwo w kierowaniu parafią, wie o tem każdy, kto je zaprowadził u siebie, a jeszcze i troskliwie niem się zajmuje. Bo bez opieki pozostawione nie wiele przynosi owocu.

A warto i czas poświęcić i oddać się szczerze Żywemu Różańcowi, bo przy jego pomocy ulatniają się błędy parafian jak kamfora w powietrzu.

Ażeby jednak Bractwo było warownią życia chrześciańskiego, potrzeba, *ażeby proboszcz sam odprawiał w czasie oznaczonym tak zwane zmiany tajemnic.* Zwyczaj praktykowany i tu i ówdzie, że bracia i siostry sami, choćby i w kościele, ale sami odprawiają tę zmianę, nie jest godnym pochwały, a świadczy wyraźnie o braku gorliwości proboszcza. Gorzej jeszcze, jeżeli te zmiany odprawiają się po domach z reguły, bo wyjątkowo — w zimie, w czasie niepogody — inaczej być nie może. Wtedy Bractwo to degeneruje rychło i rychło przychodzi nań marasmus senilis. Wtedy staje się ono gniazdem plotek najczęściej i rozmaitych nieporozumień między jego członkami.

Zmianę tajemnic ma więc odprawiać sam proboszcz w kościele, poprzedzając ją pewnem nabożeństwem. A do tego nabożeństwa wchodzi na wstępie modlitwa Bernarda św. — potem dziesiątek różańcowy na pewną intencyą razem odmówiony — potem litania loretańska ze zwykłemi modlitwami.

Po skończeniu tego nabożeństwa przemawia proboszcz do zgromadzonych według potrzeby. O czem innem wypadnie mu mówić do dziewcząt, kiedy są one na zmianie, a o czem innem do kobiet, do gospodarzy lub do młodzieńców. W przemowach takich potrzeba czasem skarcić jakiś wybryk, a czasem do pewnej cnoty zachęcić!

Jeden z proboszczów ma we zwyczaju jednę na takich zmianach polecać cnotę, w której się wszyscy, na zmianie obecni, przez cały miesiąc szczególnie ćwiczyć mają. Jest to zwyczaj bardzo praktyczny, bo choć każda tajemnica każe już w pewnej cnocie się ćwiczyć, to jednak doświadczenie poucza, że tego bracia i siostry nie wypełniają. A przeciwnie, kiedy się im powie przy zmianie, na co szczególnie przez cały miesiąc mają pamiętać, czego się strzedz a co wypełniać, to o tem pamiętają rychlej i rychlej to wykonają. Poznać to po tem, że przy spowiedzi oskarzają się z tego, że o poleconej przy zmianie cnocie zapominali. I tę praktykę godzi się wszystkim polecić jako bardzo pożyteczną.

Potem dopiero sama następuje zmiana. Kolejno więc przychodzą starsi, trzymając 15 tajemnic w ręce i podają je księdzu. Ksiądz począwszy od starszej siostry czy brata, rozdaje je przynależnej róży przy śpiewie pieśni do Matki Bożej.

Ale to jeszcze nie cała praca nad Żywym Różańcem. Toć ten Różaniec ma stanowić ową odrobinę kwasu, *który wziąwszy niewiasta, zakryła we trzy miary mąki, aż wszystka skwaśniała* Mat. XIII. 33. Jeno że ten kwas w dobrem znaczeniu ma zakwasić mąkę parafialną. Ażeby się to stało, *niechaj różańcowi dwa razy do roku mają osobną swą spowiedź w maju i w październiku,* bo to dziś miesiące Maryi. Niech do tej spowiedzi nie przychodzą tłumnie, ani kiedy się komu podoba, ale każda róża w dniu oznaczonym przez proboszcza. I na ten dzień zamawia ta róża wotywę dla siebie i asystuje w czasie niej ze świecami w rękach, a wśród Mszy przyjmuje Komunią św. — Prześlicznie to wygląda, a obecnych duchem bożym przejmuje. — Wypadnie czasem w niektórych parafiach, gdzie ten Żywy Różaniec jest liczny, że i kilka róż w jednym się dniu spowiada i komunikuje.

A o tych zebraniach, czy posiedzeniach miesięcznych, ze starszymi braćmi czy siostrami, co też powiedzieć? Na to odpowiada już doświadczenie, że takie zebrania chybiają celu, a nawet są szkodliwe. Zaraz się z tego wytłómaczymy. Bo przy takiem posiedzeniu ze starszymi Bractwa chodzi głównie o jedno, aby się dowiedzieć, jak się tam różańcowi sprawują. A tego właśnie nie dowiedzieć się na zebraniu gromadnem. Wobec wielu nie powie przełożony róży nic złego o swoich braciach, bo nie miałby po co i do domu wracać. Toć w jednem miejscu zaskarzono starszą siostrę do sądu za to, że się poważyła na posiedzeniu miesięcznem o siostrze ze swojej róży źle mówić. Choć na to i zasługiwała. — Ten więc sposób urządzania posiedzeń ze starszymi róż nic nie przynosi owocu. A o innych sprawach można kiedykolwiek mówić, osobliwie w czasie zmian tajemnic.

Ale dowiadywać się jednak potrzeba, jakie życie różańcowi prowadzą, bo inaczej zakorzenią się przeróżne błędy pomiędzy nimi. Sposobność po temu nastręcza się proboszczowi dość często, tak często, jak tego zażąda. I kiedy brat starszy widzi się sam na sam z proboszczem, opowie wszystko i śmiało i szczerze. A wtedy pociąga się winowajcę do odpowiedzialności. Po pierwszem uchybieniu przychodzi upomnienie, ale się winnego z Różańca jeszcze nie wyklucza. Jeżeli nie ma poprawy, to po dwu upomnieniach dalszych trzeba suchą gałąź od krzewu różanego odciąć.

Przychodzi więc wykluczenie z Różańca, a tu się rozmaitej praktyki trzymają. Jedni odbywają tę ekskomunikę publicznie w czasie zmiany w kościele, przy zagaszeniu świec płonących na ołtarzu i zasunięciu obrazu, jeżeli jest taka zasuwa. Przy czem piętnuje się zło, jakiego się różańcowy dopuścił i nazywa się go po imieniu. Inni w inny to odbywają sposób. A mianowicie, każą się zejść u siebie tej róży, w której się stało jakie przekroczenie i w obecności braci czy sióstr wykluczają winnego.

Ten drugi sposób jest łagodniejszy, a na czasy dzisiejsze i odpowiedniejszy, kiedy to i klątwy kościelne publiczne ucichły. Sposób ten jest więcej w duchu Kościoła, ale trzeba to przyznać, że tamten więcej hamuje od złego.

Tak nam się przedstawia praca i kierunek Żywego Różańca. Prowadzony tak i tak pielęgnowany przynosi on w parafii owoc stokrotny. A już, gdzie n. p. pijaństwo panuje, staje się Żywy Różaniec źródłem wstrzemięźliwości.

(Ciąg dal. nast.)

Ks. W. P.

Bibliografia.

Ks. Karol Fischer: **Kazania i przemowy pasterskie do ludu wiejskiego,** tom II., obejmujący czas od niedzieli I-szej Postu do Zielonych Świątek. 8-vo str. 457, Kraków 1894 r.

Pamiętamy, że kiedy omawianych tu kazań wyszedł tom. I., krytyka niezwykle żywo niemi się zajęła. Sąd w ogóle wypadł pochlebny, a mniemamy, iż był i sprawiedliwy, jeśli na uwagę się weźmie przedewszystkiem zakres słuchaczów, dla których pouczenia autor te nauki przeznaczył. Nawet najsurowszy stosunkowo recenzent z *Przeglądu Kościelnego* [1]) przyznał wartość dziełu i nie odmówił mu przymiotów cennych, stanowiących tych kazań istotę a zarzucał tylko brak siły w wyrażeniu, zapału i ognia, któryby porwał i zajął słuchacza. Jeśli w obronie ks. Fischera i jego pracy wolno coś powiedzieć, to przypomnieć warto recenzentowi, że ten ogień, zapał święty i ciepło trudno na papier rzucić, i ubrać w formę taką, iżby w każdych ustach mogły te same z góry założone wywołać uczucia.

Owszem wiemy, iż naśladownictwo cudzego, a nie własnego, odczutego poprzód zapału obudza często niesmak i mija się z celem. Więc drukowane kazania w sobie znakomite być mogą, chociażby nie miały wiele ognia, jeśli jest w nich zdrowa nauka treściwie a gruntownie wyłożona, jeśli ich dyspozycya jest wyraźnie i logicznie przeprowadzona, jeżli w zastosowaniach praktycznych sięgają w jądro potrzeb i wad słuchacza, co suponuje oczywiście, iż kaznodzieja zna życie i stosunki swego audytoryum. Za taki materyał wdzięczny będzie każdy kapłan, jeśli — jak tego słusznie oczekiwać można — zechce i potrafi ożywić go swoim zapałem i ciepłem żywej miłości ku Bogu i ludziom.

Tyle dla wyjaśnienia zarzutu, który o ile sądzić nam wolno, nie ujmywał niczego z istotnej wartości kazań ks. Fischera, a nadto i nie całkiem był uzasadnionym, bo w tomie I. było wiele miejsc prawdziwie porywających, pięknych, chwytających za serce i przykuwających uwagę słuchacza czy plastyką opisu, czy przedstawieniem prawdy z szczerem czuciem, czy dobrze oddaną grozą przedmiotu.

Obecnie wydany tom II. ma te same zalety, jakie podnieśliśmy wyżej, a nadto autor korzystając z kilku wskazówek, jakich mu nie skąpiono, nadał swym naukom formę przystępniejszą. Są mianowicie w ogóle krótsze, w ułożeniu widać więcej już pracy i wprawy. Co do treści, czas postu wymagał od kaznodziei, by na pierwszym planie uwzględnił najważniejsze potrzeby ludu wiejskiego; z tego powodu przedstawia nam po pierwszej nauce o poście cały szereg kazań o św. spowiedzi, 7 kazań o męce P. Jezusa i kilka kazań liturgicznych, jako wytłómaczenie ludowi ceremonii Wielkiego Tygodnia. Wśród tych kazań wpleciono inne na uroczystość św. Józefa (2), Zwiastowania N. Maryi Panny (3), Wielkanocną i Zielone Świątki. Na końcu umieszczono dwie nauki na rozpoczęcie Majowego nabożeństwa.

Cóż o tych kazaniach powiemy? Mało zdaje mi się wyznać, iż to dla naszej ubogiej kaznodziejskiej literatury nabytek dobry: można bez przesady uznać go za znakomity. Jeśli za nauką się oglądamy, któraby przywary i błędy, nałogi i praktyki niedobre naszego ludu przedstawiała dokładnie przy każdej sposobności, czy przy rachunku sumienia, czy postanowieniu poprawy lub zadośćuczynieniu, czy przy pracy w polu, czy w stosunku do proboszcza (kazanie na II. niedzielę po Wielkan.), to podobnoś lepszego nad te kazania materyału nie znajdziemy. A dają one nie tylko świadectwo chlubne autorowi, iż zna życie wiejskie — ale i okazują, iż rozumie w jakiej formie grzech ten lub ów przedstawić, jakim przykładem go oświetlić i zrezumiałym ludowi uczynić.

Jeśli pragniemy dalej przewodnika, któryby nam sposób wskazał, w jaki wiejskiemu ludowi u nas, przeważnie nie wiele rozwiniętemu, przedstawić jasno, gruntownie i krótko naukę wiary, to zdaje mi się i w tym kierunku trudno o lepszy i praktyczniejszy podręcznik. Podobnie jak w I. tomie tak i w II. rozwija autor przystępnie i objaśnia w dalszym toku prawdy objawione, jak o jednej, prawdziwej wierze (kazanie na I. niedz. po Wielk.) o niebie i t. d. Co przedewszystkiem na uznanie i podniesienie zasługuje, to obfitość (nie przeładowanie) cytatów z Pisma św., dobranych i trafnych, a także wiele zajmujących i budujących przykładów.

Co się formy zewnętrznej tych kazań tyczy, to pamiętajmy zawsze, iż one pisane są i przeznaczone dla ludu wiejskiego. Więc temu celowi odpowiadać musi i dyspozycya prosta a przystępna, i sposób traktowania popularny i może czasem powtarzający się i dykcya zwłaszcza, nie trywialna, ale zniżona do pojęć ludu, jakkolwiek stojąca zawsze na tej wyżynie, na której Słowo Boże znajdywać się powinno. O tem pamiętać winni ci, którzyby w tych kazaniach szukać chcieli wykwintnej formy, wyższego nastroju, oratorskich ozdób i innych niezwyczajności. Są to kazania ludowe, ale — jako takie — po mistrzowsku obmyślane i wykończone.

Wyróżniają się wśród nich i myślami i namaszczeniem szczególniej dwie ostatnie nauki Majowe, piękne w sobie i ciepłem wiosennego powiewu ogrzane, a wonne taką miłością Maryi, iż prawdziwie tego tomu cenną stanowią ozdobę.

Na zakończenie powiemy jedno, iż z serca temu dziełu życzymy powodzenia. Niech idzie do wiosek naszych, rozsianych po górach i dolinach, niech Pasterze czerpią z nich tę siłę prawdy i zdrowej nauki, jaką tak hojnie rozsiał autor w każdem niemal kazaniu, a przekonają się, iż sąd nasz był nie czczą pochwałą, ale słuszności i uznania zasłużonego wyrazem. Autorowi zaś życzenie przesyłamy, by trzeci tom, zapowiedziany, jak najrychlej wykończył, a przystępując wkrótce do nowego wydania, poprawił niektóre tylko mniej dokładne wyrażenia, jak n. p. owo na str. 261 (tom II.) „we Wielki Piątek nie odprawia się Msza św. nigdzie na całym świecie", bo wiadomo, iż ją (sam tylko) Ojciec św. odprawia, a ma to też głębokie symboliczne znaczenie. Poprawić wypadnie tu i ówdzie nie polskie całkiem zwroty i błędy (nieliczne) drukarskie, a wydanie takie będzie na długo prawdziwą ozdobą naszego kaznodziejstwa ludowego.

Ks. A. Boc T. J.

---

[1]) Rocznik 1892, zeszyt z listopada, str. 784.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Galicya. Mrowla. Staraniem gorliwego proboszcza ks. Henryka Siarkowskiego odbyły się w Mrowli, dekanatu Głogowskiego, 14-dniowe rekollekcye dla ludu pod przewodnictwem wielebnych OO. Jezuitów ks. Gołąbka, Cosla, Walla i Kuryłowicza,

zakończone w 28. z. m. uroczystem oddaniem całej parafii Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i zaprowadzeniem Apostolstwa modlitwy, tudzież bractwa wstrzemięźliwości.

Przystąpiło do spowiedzi św około 5 tysięcy ludzi. Aby się uporać z tą pracą, na każdą seryę przybywało po 20 — 30 księży przeważnie z dekanatu Rzeszowskiego i kilku z sąsiedniej dyecezyi Tarnowskiej, którzy od rana do ciemnej nocy niezmordowanie słuchali spowiedzi św. po największej części z całego życia. Za szczególną zasługę poczytać można OO. Misyonarzom to, że do odległej o $1^1/_2$ mili wsi Budy eksponowali jednego z pośród siebie, ks. Kuryłowicza, który tam w szkole przez 3 dni osobne miewał nauki. Starców, słabych i ułomnych słuchał spowiedzi i komunikował na miejscu, odprawiając tam codziennie w improwizowanej kaplicy mszę św., zdrowych zaś przyprowadzał w procesyi do kościoła parafialnego, by w całej pełni korzystali z ćwiczeń duchownych. Na zakończenie w niedzielę przed nieszporami odbyło się poświęcenie obrazu cudownej Matki Boskiej Kochawińskiej, sprawionego na pamiątkę tych pięknych dla parafii dni kosztem J. W. państwa Dolińskich, kollatorstwa. Poświęcenia obrazu na werandzie pałacowej dokonał w asystencyi OO. Misyonarzy i miejscowych księży ks. Wład. Purzycki z Boguchwały, poczem po procesyonalnem wprowadzeniu obrazu do kościoła prześliczne kazanie wypowiedział O. Cosel, oddając na pożegnanie całą parafię pod opiekę tej cudownej Pani. Dodać tu jeszcze wypada, że na przyszły rok rozpocznie się z ofiar parafian według planów architekty Stryjeńskiego budowa nowego murowanego kościoła paraf., w którym jak to przyobiecał ks. proboszcz swoim parafianom, da Bóg doczekać, odprawi się renowacya tych ćwiczeń duchownych, co niezmiernie lud ucieszyło i do ofiar na kościół zachęciło. Szczęść więc Boże!

— W Pleśnej pod Tarnowem odbyły się od 20. do 29. października rekolekcye ludowe, które dawali dwaj OO Redemptoryści Miejscowi parafianie okazali wiele dobrej woli, przyczyniając się skromnymi datkami do pokrycia nieuniknionych wydatków, oraz biorąc gorący udział w ćwiczeniach rekolekcyjnych. Do św. Sakramentów przystąpiło 1300 osób. Za to właściciele tak zwanej większej posiadłości nie raczyli się ani raz pokazać w kościele, nawet i w niedzielę. Smutny to objaw, który zaufania i szacunku u ludu dla dworu wcale nie budzi.

— Siemikowce. Dnia 21. października poświęcił ks. dziekan Chmura w Siemikowcach parafii Rosochowackiej kościółek zbudowany za staraniem ks. proboszcza Konarskiego ze składek, mianowicie z funduszu przeznaczonego dla budowania kościołów, ofiary W. P. Jankowskiego w kwocie 1000 złr. (oprócz gruntu pod budowę) i dobrowolnych ofiar ludu. Przysłowiowe błoto podolskie nie zraziło wiernych, owszem, bardzo licznie wzięli oni udział w tej uroczystości. Po poświęceniu przemówił ks. Dziekan, zachęcając do jak najczęstszego nawiedzania nowej świątyni nietylko wtenczas, kiedy ksiądz proboszcz przyjedzie z nabożeństwem, ale też w innych porach dla zmówienia różańca św., śpiewania pieśni nabożnych i t. d. Ks. proboszcz Konarski odśpiewał potem pierwszą Mszę św. w tym kościele, w czasie której ks. Antoni Rybka S. I. wygłosił na dworze do ludu kazanie o dobrodziejstwach i łaskach, jakie w kościołach katolickich odbieramy. W czasie sumy przybył z procesya ks Sabat prob. obrz. gr. kat. z cerkwi, odprawiwszy popizód nabożeństwo u siebie. Po zakończeniu podniosłej ceremonii ks. dziekan w imieniu JE. ks. arcybiskupa podziękował p. Jankowskiemu za jego trudy poświęcone dozorowaniu budowy i hojny dar, jakim się przyczynił do budowy kościoła.

Tak więc dzięki ofiarności kapłanów i ludzi dobrej woli, rosną kościółki i mnożą się jak grzyby po deszczu; cóż, kiedy *operarii pauci*. Jednak że budowa kościołów po wsiach wiele przyczynia się do umoralnienia ludu i do zabezpieczenia go od szkodliwych zewnętrznych wpływów, nikt wątpić nie może — przeto dalej w tym kierunku wypada nam pracować, równocześnie zaś *rogare Dominum messis, ut mittat operarios in messem suam*.

— Budzanów. Wieś Wierzbowiec i przyległe doń Łaskowce zamieszkuje około 1600 dusz obrz. łać., które zaniedbywały się dosyć w praktykach religijnych z powodu znacznej, bo dziewięciokilometrowej odległości od kościoła macierzystego. Konieczną potrzebę własnego kościoła uczuli parafianie, więc za staraniem gorliwszych już w r. 1884 stanęły mury nowego kościółka za grosz uzbierany z dobrowolnych składek. Zabrakło jednak dalszych funduszów i budowa przerwała się, aż oto Bóg zesłał w osobie W. P. Jana Gromnickiego, właściciela Łaskowiec dobroczyńcę, który wykonując ostatnią wolę ś. p. Józefa Gromnickiego, ofiarował kapitał potrzebny na wykończenie świątyni Pańskiej. Radość parafian była niezmierna, gdy po dziesięciu latach oczekiwania ujrzeli Dom Boży w swojej wiosce. To też na zapowiedziane poświęcenie w dniu 21. z. m. zebrała się licznie ludność z całej okolicy bez różnicy obrządku. Miłe bardzo wrażenie zrobiła obecność ks. Tomkiewicza, prob. obrz. gr. w Wierzbowcu, który jakkolwiek chory przybył o 2 kilom. z procesyą do kościółka. Aktu poświęcenia dokonał ks. dziekan Stan. Gromnicki z Buczacza.

— Delejów. Dzisiejsza parafia Maryampolska miała pierwotnie swój kościół parafialny w Delejowie. Gdy w XV. stuleciu Tatarzy spalili kościół, wtedy parafia cała inkorporowaną została do sąsiedniej parafii Uście Zielone a dopiero na początku zeszłego stulecia, bo w r. 1721, za staraniem ks. Jana Kajetana Jabłonowskiego, wojewody ziem ruskich, który był wówczas właścicielem Maryampola, został obszar dzisiejszej parafii Maryampolskiej ekskorporowany z parafii Uście Zielone i utworzono probostwo nowe z siedzibą proboszcza i z kościołem parafialnym w Maryampolu.

W tegoroczną oktawę uroczystości poświęcenia kościołów obchodziła Maryampolska parafia uroczystość poświęcenia kościoła, nowo wybudowanego w Delejowie i to na tem samem miejscu, gdzie dawniejszy stał kościół parafialny. Bractwo kościelne Delejowskie posiadało kapitał w gotówce 1700 złr. które ofiarowało na budowę i ta kwota była kapitałem zakładowym Z funduszu archidyecezyalnego, przeznaczonego na budowę kościołów, otrzymał komitet kwotę 1000 złr, ale największe źródło, z którego czerpał, była kwesta dozwolona w kraju. Do tej pory wpłynęło z niej 5336 złr.; ks. infułat Jakób Kerschka darował 2 dzwony. On też dokonał aktu poświęcenia. Pierwszą mszę św w nowym kościele odprawił inicyator budowy. ks. Ferdynand Majewski, proboszcz Maryampolski. Prócz kapłanów łacińskich wziął udział w tej uroczystości i ks. Mykiecej, miejscowy proboszcz obrządku gr. kat.

Węgry. *(Kongres klubów katolickich. — Żydowskie uznanie).*

Wkrótce odbędzie się w Budapeszcie zebranie delegatów wszystkich katolickich klubów w Węgrzech. Klubów takich jest 75. Zadaniem kongresu będzie obmyśleć sposób zorganizowania jednolitej akcyi katolickiej. Jestto krok wielkiej doniosłości a spodziewać się należy, że powiedzie się równie pomyślnie jak w Niemczech, gdzie zbawienną akcyę katolików zaczęto właśnie od takiego kongresu.

— Jak donoszą z Aradu do *Pester Lloyd'a*, podczas uroczystego nabożeństwa w święto Kuczek w synagodze tamtejszej po odczytaniu tory wzywał rabin w języku hebrajskim błogosławieństwa Bożego dla ministra prezydenta Wekerlego i ministra sprawiedliwości Szilagy'ego, jako przodowników w liberalnej polityce kościelnej, co wszystkich „wiernych" niezmiernie uradowało. Powinszować chrześciańskim ministrom węgierskim, że dostąpili takiego zaszczytu.

Ameryka. *(Stowarzyszenie katolickich kursów letnich. Prawdziwy uczeń dobrego pasterza).*

Stowarzyszenie *Catholic summer school* w Stanach zjednoczonych zakupiło w Plattsburg ogromne obszary ziemi, na których buduje wille a korzystając z pięknego położenia, bliskości wody i lasów urządza wszystko, czego zapragnąć można dla miłego i wygodnego przepędzenia kilku tygodni na willegiaturze. Zdawałoby się, że Stowarzyszenie, którego nazwa opiewa w dosłownem tłumaczeniu: „Katolicka szkoła letnia", angażuje się w przedsiębiorstwo, nie mające nic wspólnego z jego celem. Otóż właśnie tak nie jest. Owe wille, to tylko środek do spełnienia celów Towarzystwa, które pragnie osobom, zbyt zatrudnionym przez rok cały, podać sposobność do kształcenia się podczas krótkiego pobytu na wsi w upalne miesiące letnie. To też z rana i wieczorem miewać będą najznakomitsi profesorowie wykłady, aby bawiący na willegiaturze mogli się przysłuchiwać. Zapewne nikt tam nie nabierze zasadniczego wykształcenia w matematyce,

filozofii lub geologii, lecz bez wielkiego trudu i bez wielkiego kosztu uzupełni swe wykształcenie ogólne. Stowarzyszenie urządza więc każdego lata rodzaj kongresu naukowego pod kierownictwem duchownych, umożliwia wzajemne zbliżenie się i popiera harmonią między katolikami. Ojciec święty zachęcił Stowarzyszenie do pracy, pisząc: „Wiek przemawia za taką szkołą: najpierw w interesie religii utrzyma między katolikami harmonią myśli i czynów, co spotęguje obronę kościoła i zjedna mu braci, odeń oddzielonych, powtóre w interesie nauki wykłady uczonych profesorów przyczynią się znamienicie do szerzenia wiedzy" Na wstępny kurs zgłosiło się 300 słuchaczów.

— W czasie straszliwego pożaru lasów i preryi w północno-wschodniej Minnesocie padło ofiarą także miasteczko Hinkley. Gdy ogień się zbliżał, ks. Edward J. Lawlor, proboszcz parafii św. Patryka, widząc, że jedyny ratunek w spiesznej ucieczce, ukrył święte hostye i naczynia w kufrze, który przesłał przejeżdżającym właśnie wozem do kopalni piasku, sam zaś opierając się wezwaniu, by uciekał odjeżdżającym właśnie pociągiem, biegał od domu do domu, nakłaniając opóźnionych do rychłej ucieczki, a choć spotykał się ze złorzeczeniem i przekleństwami zwłaszcza niekatolików, nie spoczął, dopóki nie zaprowadził wszystkich do kopalni. Ale tam nawet omdlewali biedacy w duszym upale, ks. Lawlor tedy kapeluszem nabierał wody i bez wytchnienia zlewał mdlejących. Tak wytrwał 24 godzin, dopóki niebezpieczeństwo nie minęło.

Stany Zjednoczone. Czytamy w *Kuryerze Poznańskim:* „We Freeland w Pensylwanii w Ameryce Północnej założyły sobie polskie warchoły niezależny polsko-amerykański kościół i wybrały sobie za proboszcza byłego księdza a dziś apostatę Dębskiego. Już więc emigracya polska w Ameryce posiada trzy takie schizmatyckie kościoły. Dziwi nas bardzo, że ***Kraj*** petersburski tak często mylne, jeżeli już nie tendencyjne o emigracyi polskiej w Ameryce podaje wiadomości, przysyłane mu przez pewnego J. P., którego bardzo liche, ale zawsze mściwe usposobienie znane jest w całej Ameryce. I tak ***Kraj***, idąc za swoim korespondentem, pisze, że wogóle zgromadzenie nowych katolików wybrało sobie za zwierzchnika arcybiskupa prawosławnego Filata. mającego swoją katedrę w Milvaukee. Otóż nie ma w całej Ameryce arcybiskupa prawosławnego Filata. ani żadnej prawosławnej katedry w Milvaukee. Ten, którego sobie odpadli księża za zwierzchnika obrali, nazywa się Vilatte. jest on rodem Francuz, odpadły ksiądz. a tytuł biskupa dał sobie sam samozwańczo. Żadnej katedry nie ma, tłucze się po dyecezyi Green-Bay i jak mówią, jest mocno *in partibus infidelium.* Prawosławnym nie jest, bo Polacy, chociaż od prawdziwego Kościoła odpadli, to z samego poczucia patryotycznego, nigdyby nad sobą prawosławnej zwierzchności nie ścierpieli. Tymi zaś odpadłymi księżmi, którzy sobie apostatę Villattego na biskupa obrali, są: Kołaszewski. Dębski, Barszcz, Stroelke. Klawitter, Kamiński alias Fryderyk Roeder, z pewnością żyd i na pół rzekomo nawrócony tajny sprzymierzeniec Kolasińśki. W Ameryce, tym kraju nieograniczonej wolności. można się było po emigracyi polskiej tego spodziewać, gdyż wszystkie inne emigracye w swoich początkach przez silniejsze daleko przechodziły przesilenia. Dziś w nich cicho i spokojnie; tak kiedyś i w polskiej emigracyi będzie, tem zaś prędzej, i m m n i e j G a l i c y a n a s y ł a ć b ę d z i e d o A m e r y k i z ł y c h i u p a d ł y c h k s i ę ż y".

* *

Tyle *Kuryer Poznański.*

Z powodu kilku słów jego, danych powyżej rozstrzelonym drukiem, niech nam będzie wolno przemówić co nieco

pro domo.

Zaznaczamy najpierw, że z tych księży polskich, którzy w Ameryce wichrzą i sieją zgorszenie, bardzo mały procent pochodzi z Galicyi. Oświadczamy powtóre, że Galicya nie trudni się zgoła wysyłką upadłych księży za Atlantyk; Ameryka sama ich zabiera i przyjmuje otwartemi ramionami, nieraz bez dymissoryaliów i bez zapytania właściwego biskupa. Wobec tej praktyki Galicya zachowuje się biernie, co najwięcej podziwia to prawo kanoniczne, jakie obowiązuje w Ameryce.

To prawda, że wykolejone jednostki, jakie wszędzie mogą się trafić, chętnie z Galicyi umykają za morza i góry, bo im jakoś nie swojsko w rodzinnych stronach. Ale ten fakt świadczy na korzyść galicyjskiego duchowieństwa. Wszak każdy organizm tem jest zdrowszy, im wrażliwszą posiada oporność przeciw wszystkiemu, co szkodę mu niesie

Poruszamy tę kwestyę dla tego, że pisma poznańskie zbyt często i prawie z zasady przedstawiają Galicyan za Polaków II. czy III. klasy, niższych od Wielkopolan o tyle stopni przynajmniej, o ile — w pojęciu żołnierza — „cywilny" niżej stoi od wojskowego.

To zdanie dziś grubo jest przestarzałe i wprost błędne.

Od długiego szeregu lat Galicya wytrwale kroczy naprzód i obecnie nie potrzebuje się lękać porównania z innemi dzielnicami Polski. Żeby jeden tylko szczegół przytoczyć, toć n. p. jest rzeczą wiadomą, iż peryodyczną prasę warszawską zasilają w znacznej mierze Galicyanie; że zaś w Księstwie dzienniki rade się żywią artykułami galicyjskimi, o tem *Kuryer Poznański*, gdyby tylko chciał być szczerym, mógłby wiele powiedzieć z własnego doświadczenia.

Prosta sprawiedliwość przyznać każe, że w niejednem postęp swój Galicya zawdzięcza mężom, którzy z najrozmaitszych kątów Polski tutaj przybyli, aby bądź na stanowiskach prywatnych, bądź na profesorskich katedrach, bądź w urzędach czy kościelnych, czy autonomicznych, czy państwowych, pracować dla naszego dobra.

Ze jednak umiano w Galicyi poznać się na tych ludziach, uprosić ich sobie, otoczyć szacunkiem a miłością przygarnąć, ująć i zatrzymać; że pilnie wystrzegano się zaściankowych uprzedzeń; że popędów serca polskiego nie więziono małodusznie w granicach, wytkniętych czarnożółtymi słupami; że pojmowano patryotyzm szeroko: to znowu są objawy galicyjskie wprawdzie, ale mimo to dodatnie bardzo, godne, by na nich wzorowała się Wielkopolska i Małopolska.

Ofiarujemy ten wzór braciom niegalicyjskim — bez pretensyi do wynagrodzenia.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska obr. łać.

A d m i n i s t r a c y ą probostwa opróżnionego w Stojanowie objął O. Wojciech Szuber z zakonu OO. Bernardynów.

M i a n o w a n y wikaryuszem w Baworowie ks. Edward Seńków, dot. administrator tamże.

J u r y s d y k c y ą otrzymał ks. Michał Bałaban, katecheta szkoły realnej w Czerniowcach.

K o n k u r s na probostwo w Stojanowie ogłoszony z terminem do końca grudnia 1894.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: **ks. Z. Lenkiewicz.** Z Drukarni W. Łozińskiego.